

Nieufność wobec mowy potocznej

Z Oswaldem Ducrotem rozmawia Anna Dutka

Rozmowy

Nieufność wobec mowy potocznej Z Oswaldem Ducrotem rozmawia Anna Dutka

Anna Dutka: *Językoznawstwo określiło swe standardy naukowe opierając się na koncepcjach Saussure'a. Co sądzi pan o przełomie saussurowskim dzisiaj, po prawie stu latach? Czy rzeczywiście był on taki istotny?*

Oswald Ducrot: Ja sam z pewnością sporo czasu poświęciłem na zwalczanie pewnych poglądów, które mi narzucała lektura Saussure'a, co nie zmienia faktu, że główne wątki jego badań przyświecały wszystkim moim działaniom. Przejmuję od niego myśl, że gdy chce się badać fakty językowe, trzeba rozróżnić w nich dwie dziedziny: jedną, dającą się wyjaśnić bezpośrednio przez system nazwany przez Saussure'a *langue* i drugą, wiążącą się z oddziaływaniem wzajemnym systemu centralnego, jakim jest język, i czynników zewnętrznych. Osobiście nie widzę żadnej możliwości rozsądnego badania faktów językowych bez przeprowadzenia tego podziału. Można dyskutować nad tym, czym jest ów trzon, ale sama konieczność odróżnienia systemu *stricte* językowego od wpływów zewnętrznych wydaje mi się nieunikniona.

A. D.: *Jak ocenia pan definicję języka jako struktury?*

O. D.: Jeśli przyjąć, że ów trzon ma charakter systemowy, trzeba się też zgodzić z tym, że odpowiada on samej idei struktury. Dlatego nie widzę

żadnej możliwości poważnego badania faktów językowych, które by się nie wspierało na centralnej strukturze językowej. Co to znaczy, że język jest strukturą? Znaczy to, że elementy stanowiące język powinny się określać jedne względem drugich, niezależnie od możliwego działania czynników zewnętrznych, bierze się je pod uwagę dopiero po zdefiniowaniu struktury językowej.

A. D.: *Jakie miejsce należałoby przyznać pragmatyce, jeśli przyjmie się strukturalną definicję języka?*

O. D.: Powiedziałem już, co moim zdaniem powinno się zachować z teorii Saussure'a. Pytanie, które pani zadała, wymaga ode mnie sprecyzowania, pod jakim względem ja i inni współcześni językoznawcy odchodzimy od pierwotnej tradycji saussurowskiej. Odchodzę od niej — a raczej, my od niej odchodzimy — dlatego, że wprowadzamy do języka elementy, które w tradycyjnym saussurianizmie przypisałoby się *parole*. Postaram się wyjaśnić to nieco bliżej, sądzę, że do samej struktury języka należą pojęcia: wypowiedzienia, aktu mowy, czy też przywołania kontekstu, podczas gdy Saussure na pewno by nie wprowadził tych pojęć w obręb samego języka. Ale to nie przeczy wspomnianej przed chwilą podstawowej intuicji Saussure'a. Nie powiedziałem bowiem, że w obręb języka trzeba wprowadzić kontekst, co byłoby prawie sprzecznością. Chciałem powiedzieć, że przywołanie kontekstu odgrywa rolę w samej definicji języka. Weźmy jakiś bardzo prosty przykład. Jeśli chce się opisać takie wyrażenie deiktyczne, jak przysłówek *tutaj*, bez wątpienia wchodzący w skład języka, to trzeba uznać, że aby go zinterpretować, należy wiedzieć, co mówiący uważa za swoją, by tak rzec, strefę przynależności. I oczywiście tylko dzięki kontekstowi będzie można powiedzieć, co to za obszar. Wracam do przykładu: gdy mówię „Piotr jest tutaj”, może to znaczyć 'Piotr jest w moim gabinecie', może to znaczyć 'Piotr jest w Paryżu', 'Piotr jest we Francji', 'Piotr jest w Europie', może to ewentualnie znaczyć 'Piotr jest w świecie żywych, a nie zmarłych', może to znaczyć... — i tylko kontekst pozwoli dokonać wyboru między tymi interpretacjami. Ale dla zrozumienia *tutaj* język każe poszukać tego, co w danej sytuacji wypowiedzienia mówiący uważa za swoją strefę przynależności. Aby odróżnić, na przykład, *tutaj* i *tam*, trzeba będzie się zastanowić, gdzie wytycza on granicę między strefą swoją i strefą zewnętrzną. Konieczność rozdzielenia tych obszarów jest ściśle językową, choć tylko sytuacja — lub kontekst — sugerują, gdzie wytyczyć granicę. Na przykładzie wyrażen deiktycznych mogę odpowiedzieć w sposób bardziej ogólny na pani pytanie dotyczące usytuowania pragmatyki względem lingwistyki strukturalnej. Osobiście uważam, że słowo p r a g-

matyka jest wieloznaczne i może oznaczać dwie rzeczy całkowicie różne. Jeśli przez pragmatykę rozumieć to, co kontekst dodaje do wartości językowej, to nie ulega wątpliwości, że nie będzie ona mogła, na mocy definicji, stanowić części językoznawstwa. Ale jeśli przez pragmatykę rozumieć wskazówki, które słowa, z racji swej struktury semantycznej, kierują ku kontekstowi, to będzie ona częścią językoznawstwa. Widzi pani, istnieje pragmatyka językoznawcza badająca to, co wewnątrz samego języka odsyła nas do kontekstu. Ale oczywiście nie będzie ona mogła określić jak w danej sytuacji dyskursywnej zrealizuje się owe wymagania narzucane przez język.

A. D.: *W swoich badaniach poddaje pan krytycznej ocenie wizję języka sugerowaną przez terminologię — począwszy od słowa znaczenie. Dąży pan do opisania podstawowej warstwy semantycznej, wcześniejszej niż podział na modus i dictum. Pana zdaniem opis warunkują oceny i postawy, a świat jawi się poprzez dyskurs. A co z nauką? Czy pana własne teorie można uznać za naukowe? Czy prawda obiektywna nie istnieje?*

O. D.: Raz jeszcze, aby odpowiedzieć na pani pytanie, muszę dokonać pewnego rozróżnienia. Pytanie pierwsze brzmi: czy takie językoznawstwo, jakie proponuję, można uznać za naukowe? Pytanie drugie: czy, zważywszy na przyjęty przeze mnie opis wypowiedzi potocznej, można uznać, że ma ona wartość naukową?

Zaczynam od drugiego pytania i daję odpowiedź zdecydowanie przeczącą. Moim zdaniem wypowiedzi w mowie potocznej nie są wypowiedziami typu naukowego, w tym sensie, że jeśli się je poprawnie opisać, to okazuje się, że nie można ich uznać za deskrypcje rzeczywistości, a zatem oceniać z punktu widzenia adekwatności lub nieadekwatności wobec świata. Posunę się nawet jeszcze dalej. Powiem, że nie istnieje żadna część wypowiedzi, którą by można uznać za deskrypcję świata. Wspomniała pani o rozróżnieniu *modus/dictum* stosowanym przez tradycyjne językoznawstwo. W teorii aktów mowy występuje rozróżnienie — oczywiście inne, ale, jak sądzę, zasadniczo równoważne — między siłą illokucyjną i treścią propozycjonalną. *Dictum* i treść propozycjonalna są to elementy sensu stanowiące deskrypcję rzeczywistości, na które nakładają się elementy dotyczące nie bezpośrednio rzeczywistości, ale raczej postawy podmiotu mówiącego, zwane: *modus* i siła illokucyjna. Tak więc, gdy przyjmuje się teorię aktów mowy lub rozróżnienie *modus/dictum*, to uznaje się wprawdzie, że wypowiedź wzięta w całości jest czymś innym niż deskrypcją rzeczywistości, ale przyjmuje się, że przynajmniej część sensu

wypowiedzi — *dictum* lub treść propozycjonalną — można uznać za taką deskrypcję. Co do mnie, sprzeciwiam się tej koncepcji. Posługując się moją teorią polifonii — a w większym jeszcze stopniu teorią argumentacji w języku — staram się dowieść, że *z a d n e g o* elementu sensu nie można uznać za deskrypcję rzeczywistości. Odmawiam zatem jakiegokolwiek statusu naukowego, nawet częściowego czy przybliżonego, wypowiedziom potocznym.

Nie wynika stąd, że samo językoznawstwo nie może być naukowe. Z tego powodu, że wytwory języka nie są nawet częściowo naukowe, nie wynika, że nie jest naukowe to, co o nich mówi językoznawca. Uważam, że koniecznie trzeba rozgraniczyć te dwa pytania. Ale nie ulega wątpliwości, że aby mówić o języku w sposób naukowy, językoznawca będzie musiał skonstruować własny język, dość różny od mowy potocznej (choćby pojawiały się w nim słowa identyczne). Będzie mógł zrobić to jedynie częściowo.

A. D.: *Jakie są filozoficzne źródła pana teorii?*

O. D.: Jest to pytanie, na które trudno odpowiedzieć, ponieważ nie mogę podać dokładnego źródła, mówiąc np.: „Staram się rozwinąć taką oto teorię Platona” czy „taką oto teorię Arystotelesa”. Chodzi raczej o ogólną postawę filozoficzną, którą, jak sądzę, kieruję się w mojej pracy. Ta postawa filozoficzna to nieufność wobec mowy potocznej. Z filozofii zaczerpnałem myśl bardzo ogólną: kiedy mówimy, to właściwie nie wiemy, co powiedzieliśmy. I przeciwstawiam się wszystkim, którzy prostodusznie uważają, że mówiący panuje nad znaczeniami, jakie wyraża we własnym dyskursie. Myśl, że w pewnym sensie przerasta nas znaczenie tego, co wypowiadamy, znalazłem u Platona, który wyraził ją w sposób najbardziej dla mnie uderzający. Istnieje cała seria jego dialogów zwanych sokratycznymi, w których Sokrates pyta swych rozmówców o znaczenie słów jakich używają, i stara się im pokazać, że tego znaczenia nie znają, że nie wiedzą, co wypowiadają. Na przykład zabiera on głos w dyskusji, której uczestnicy rozważają problem odwagi i zastanawiają się, jak postępować, żeby dzieci były odważne. Sokrates tak kieruje rozmową, że dotyczy ona samego znaczenia słowa *o d w a g a*, i wykazuje rozmówcom, że są oni całkowicie niezdolni do zdefiniowania go. I to jest właśnie to, co wyniosłem z moich lektur filozoficznych. Mówiąc krótko, z filozofii przejąłem myśl, że nie wiemy, co wypowiadamy w chwili, gdy mówimy.

A. D.: *A z jakimi innymi tradycjami czuje się pan związany?*

O. D.: Poza tą zasadniczą intuicją, o której mówiłem, a którą najbardziej wyraziście sformułował Platon, wiele nauczyłem się od pewnych autorów nie uważających się za filozofów, ale których poglądy, moim zdaniem, można powiązać mniej lub bardziej bezpośrednio z owym zasadniczym motywem platońskim. Tak więc wiele zawdzięczam Bachtinowi, gdyż pokazał on w sposób najzupełniej przekonujący, że wewnątrz każdego tekstu pojawia się pewna ilość głosów i że sens tego tekstu wynika z wzajemnego ich powiązania. Tę myśl Bachtina, którą można by określić słowem „polifonia”, starałem się wprowadzić do badania samych wypowiedzi. Najbardziej był mi w tym pomocny szwajcarski językoznawca Bally. Znalazłem u niego myśl, że wewnątrz jednej wypowiedzi, w obrębie pojedynczego zdania, istnieją różne głosy, które się nakładają na siebie lub prowadzą ze sobą dialog. Myśl tę spotkałem też, poza obszarem językoznawstwa, w psychoanalizie. Na przykład wielki wpływ wywarł na mnie artykuł Freuda o negacji, w którym stara się on udowodnić, że wypowiedzi przeczące są wyrazem konfliktu między różnymi instytucjami (nazywa je on psychologicznymi) walczącymi z sobą nawzajem.

A. D.: *W przeszłości językoznawstwo dostarczyło badaniom literackim pewnych modeli. Czy myśli pan, że dzisiaj można by mówić o takiej odpowiedniości: językoznawstwo jest tym dla faktów mowy, czym poetyka dla literatury?*

O. D.: Nie znam się wystarczająco na poetyce, by móc odpowiedzieć na to pytanie wyczerpująco. Raz jeszcze pozwoli pani, że wyróżnię w pytaniu elementy, do których mógłbym się ustosunkować. Pierwszy punkt: czy badając teksty literackie należy wyodrębnić trzon, który byłby przedmiotem poetyki, tak jak badając fakty z zakresu mowy potocznej trzeba wyróżnić poziom centralny — język, analizowany przez językoznawstwo? Na to pytanie absolutnie nie mogę odpowiedzieć. Punkt drugi: jeśli na pierwsze pytanie odpowiedzielibyśmy twierdząco i w centrum badań literackich znalazłaby się poetyka, czy miałyby ona takie same cechy jak językoznawstwo, na przykład jego charakter formalny? Tu znowu nie znam odpowiedzi.

A. D.: *Często analizuje pan przykłady zaczerpnięte z literatury. Jaka rolę przypisuje pan swoim teoriom w badaniu tekstów literackich?*

O. D.: Sądzę, że wprowadzenie pojęć językoznawczych, takich jak polifonia czy argumentacja, pozwala na wzbogacenie szczegółowej analizy fragmentów literackich. Nie znaczy to bynajmniej, że badania

językoznawcze dostarczają ogólnego modelu badaniom literackim. Po prostu uważam, że mój opis np. negacji czy spójnika *mais* [ale] może bardzo pomóc w ciekawej interpretacji tych tekstów literackich, w których występują negacje i spójnik *mais*.

A. D.: *A więc nie zgadza się pan z Jakobsonem, uznającym poetykę za część językoznawstwa?*

O. D.: Z całą pewnością nie.

A. D.: *Poszukujący brakującego słowa skarżą się, że język nie pozwala im wypowiedzieć wszystkiego. Jak skomentowałby pan, z punktu widzenia językoznawcy, problem tego, co niewyraźalne?*

O. D.: Jak powiedziałem, najważniejsze, to dostrzec, że wypowiedzi, którymi posługujemy się w mowie potocznej, nie można, nawet częściowo, uznać za deskrypcje rzeczywistości: czy to zewnętrznej, czy też psychicznej. Wynika stąd, że we wszelkiej działalności dążącej do uchwycenia rzeczywistości psychicznej bądź, powiedzmy, przyrodniczej za pomocą mowy, nieuchronnie będziemy doświadczali, że instrument językowy jakim dysponujemy, jest niezadowolający. Jest tak w przypadku poetów, rzecz ma się podobnie, jak sądzę, w przypadku naukowców. Tragedią badania naukowego jest to, że aby mówić o rzeczywistości, musimy się w nim zdać na słowa języka, ale język, nie przeznaczony do tego, musimy dostosowywać do naszych potrzeb. Sądzę, że podobnie jest z poezją. Poeci nie mogą nie odczuwać nieadekwatności języka, kiedy pragną przedstawić, w sposób dla nich zadowolający, widzianą przez siebie rzeczywistość. Tak właśnie rozumiem słynny wiersz Mallarmégo: że poezja próbuje nadać czystsze znaczenie słowom plemienia. I sądzę, że to, czego doświadcza tutaj poezja, jest także udziałem, choć z innych powodów, nauki.

A. D.: *Jednym ze źródeł pańskich inspiracji był Austin, od którego oddala się pan systematycznie, gdyż semantyka polifoniczna prowadzi do innego ujęcia illokucji. Czy ma pan zamiar podtrzymać teorię aktów mowy, a jeśli tak, to w jakiej wersji?*

O. D.: Nie ulega wątpliwości, że wiele zawdzięczam Austinowi. Nie wymieniłem go mówiąc o moich źródłach, dlatego że czuję się coraz bardziej niewierny jego koncepcjom, choć wszystkie moje badania miały za punkt wyjścia lekturę Austina i, w pewnym stopniu, Searle'a. Od obu przejąłem myśl, że nasze wypowiedzi dotyczą przede wszystkim samego

wypowiadania. Każda z nich daje mianowicie pewne wskazówki co do intencji mówiącego i do sensu dyskursu należy przedstawienie tych intencji. (Nie znaczy to, że sens tworzony jest przez intencję komunikacyjną, co mogłoby sugerować, że mówiący, z definicji, panuje nad sensem. Stwierdzam jedynie, że sens, w tej mierze, w jakiej odnosi się do wypowiedzenia, zawiera obraz różnych intencji mówiącego — który jednak wcale nie musi zdawać sobie sprawy z owego obrazu.) Zarzucam natomiast filozofii aktów mowy, że aby przedstawić zawarty w sensie opis wypowiedzenia, posłużyła się pojęciem aktu mowy, które, jak sądzę, jest zdecydowanie za bliskie językowi potocznemu. W języku potocznym spotykamy słowa takie, jak *kazać*, *pytać*, *obietcać* itp. Filozofia aktów mowy skłonna jest wierzyć, że słowa te stanowią ramy, w obrębie których językoznawca powinien opisywać czynność wypowiedzenia. Coraz bardziej wydaje mi się to wątpliwe. Na przykład bardzo często do opisu naszych wypowiedzi filozofowie języka używają słów takich jak *kazać*. Otóż nie mam wrażenia, żeby pojęcie rozkazu oddawało zbyt dobrze akt spełniony przez osobę, o której się stwierdza, że coś kazała. Sądzę, że trzeba tworzyć pojęcia służące opisowi wypowiedzenia takiego, jakim je przedstawia sens naszych wypowiedzi, podczas gdy filozofowie języka zbyt często poprzestają na zapożyczeniu pojęć opisowych z słownictwa potocznego.

A. D.: *Czy można zatem rozumieć, że podtrzymuje pan teorię aktów mowy i że jest to konstytutywna część opisu semantycznego?*

O. D.: Sądzę istotnie, że pewna teoria aktów mowy, oderwana od powiązań z zastanym słownictwem, jest częścią (i tylko częścią) opisu. Z drugiej strony, jest pewne, że często dla zinterpretowania usłyszanych wypowiedzi, używamy słów takich, jak rozkaz, obietnica itp., mówimy: *kazał*, *obietcał*, *blał*. Opis mowy potocznej nie byłby pełny, gdyby nie mógł wyjaśnić, dlaczego dla zinterpretowania usłyszanych wypowiedzi bardzo często sięgamy po takie słowa. Ale trzeba to wyjaśnić, nie zakładając, że stanowią one „naukowy” opis wypowiedzi, do których stosujemy je w życiu codziennym.

A. D.: *Mówiąc o języku, często używa pan słowa gra. Kto lub co proponuje ową grę, jaką stanowi komunikacja językowa? W opisie zakłada pan mówiącego i rozmówcę, ale da się zauważyć, że coraz ważniejszy staje się interpretator. Dzieje się tak, ponieważ do niego właśnie należy segmentacja dyskursu na wypowiedzi, wybór systemu interpretacji. Stąd moje pytanie: jeśli komunikacja językowa jest grą, to kto ją prowadzi?*

O. D.: Najpierw muszę ograniczyć użycie słowa *gra*, którym rzeczywiście często się posługuję. Postawiłem filozofom aktów mowy zarzut, że słowa zaczerpnięte z mowy codziennej, takie jak *przyrzekać*, *kazać* itp., traktują jako pojęcia metajęzykowe. Nie widzę powodu, żeby czymś lepszym było stosowanie do opisu aktywności językowej słowa *gra*, zapożyczonego z języka potocznego. Słowo to wybrałem mając głównie na myśli jego wartość negatywną. Kiedy mówię, że język jest grą, to chcę po pierwsze przeciwstawić się myśli, jakoby był on zasadniczo deskrypcją rzeczywistości. Istnieje co najmniej jeden element słowa *gra*, do którego nie chcę się przyznawać: gdy twierdzę, że aktywność językowa jest grą, nie chcę przez to powiedzieć, że jest czystą rozrywką, nie mającą żadnego związku z najgłębszymi doznaniem osób mówiących. Nawet jeśli mówić, to w pewnym sensie grać, nie znaczy to grać w tym znaczeniu, w jakim szachy są grą. Nie chcę przez to powiedzieć, że mówienie jest dodatkową rozrywką względem działania zasadniczego; raczej przeciwnie, sądzę, że wszystko, co w naszym życiu jest ważne, spełnia się za pomocą mówienia i w żadnym razie nie może chodzić o czynność wtórną, taką jak gra w szachy. Nasz stosunek do świata spełnia się poprzez mówienie, nie spełnia się natomiast poprzez szachy. Kiedy twierdzę, że jest to gra, chcę po prostu powiedzieć, że mówiąc, ustanawiamy poprzez nasz dyskurs pewną liczbę stosunków z rozmówcami i że jest to źródło naszego stosunku do świata. Ale nasz stosunek do świata jest czymś jak najbardziej poważnym, więc i mówienie, z tej racji, że go wyraża, jest czymś nieskończenie doniosłym. Pragnąłbym robić coś bardziej istotnego od mówienia, niestety, nie wiem, jak tego dokonać. Pozostaje problem, o którym pani wspomniała. Kto prowadzi grę: mówiący, rozmówca, czy interpretator?

A. D.: *Czy tekst, jak u Riffaterre'a?*

O. D.: Tekst... naprawdę nie mógłbym tego powiedzieć. Powiedziałbym raczej, że jest to interpretator. Rozumiem przez to, że gdy mam zinterpretować jakąś wypowiedź, to opisuję ją jako pewną grę mówiącego wobec rozmówców i słuchaczy. I oczywiście interpretator określa, jaka to gra. Ale aby ją określić, powinien założyć, że mówiący miał zamiar w pewien sposób rozdzielić role, powinien opisać mówiącego jako swego rodzaju reżysera. Można powiedzieć, że ukrytym reżyserem jest interpretator, ale jego reżyseria polega na tym, że gdy stara się zrozumieć wypowiedzi, postrzega mówiącego jako drugiego reżysera.

A. D.: *Z uwagi na instrukcyjną koncepcję znaczenia, realizacjom zdań przypisuje się w danej sytuacji nieokreśloną ilość sensów. Jak oceniać*

interpretacje wypowiedzi? Czy można mówić o rozróżnieniach typu: obligatoryjny/fakultatywny? Czy istnieją ograniczenia nakładane na interpretację? Czy przyjmuje się jakieś założenia na temat rzeczywistości, a jeśli tak, to na jakim poziomie? Myślę tu o pańskiej koncepcji dyskursu idealnego, koncepcji opisywania wypowiedzi przez możliwą kontynuację, którą przewiduje ona na mocy swej struktury semantycznej, ale która niekoniecznie jest realizowana w rzeczywistym dyskursie.

O. D.: Zgodnie z instrukcyjną koncepcją, o której pani wspomniała, znaczenie zdania (tzn. abstrakcyjnej struktury językowej stanowiącej podstawę rzeczywistych wypowiedzi) składa się z instrukcji mówiących (zob. moją analizę *tutaj*), jakiego typu informacji trzeba poszukać w kontekście, żeby zinterpretować wypowiedź. Przyjąwszy taką koncepcję nie można ustalić, dysponując opisem językowym, jednej tylko interpretacji, o której można by powiedzieć, że stanowi dokładny sens danej wypowiedzi. By wrócić do poprzedniego przykładu: taka bardzo prosta wypowiedź jak „Piotr jest tutaj” pozwala na mnogość interpretacji, w zależności od tego, jaką wartość nada się słowu *tutaj*, czyli jaką strefę przynależności przypisze się mówiącemu. Podobnie, jeśli powiedzieć, że w wypowiedzi „Piotr nie przyszedł”, pojawiają się dwaj wypowiadający, to pierwszy wyraża stanowisko, że Piotr przyszedł, a drugi się temu sprzeciwia. Przy takim ujęciu otwiera się wiele możliwości identyfikacji pierwszego z nich. Czy jest to sam mówiący w przeszłości, czy jego rozmówca, czy też może opinia ogólna? Istnieje wiele, być może nieskończenie dużo możliwych interpretacji. Wyprowadzam więc wniosek, że językoznawca absolutnie nie jest uprawniony do decydowania o prawdziwym sensie wypowiedzi, która faktycznie pojawiła się w danej sytuacji. Czy to znaczy, że każda interpretacja jest do przyjęcia? Wolałbym uniknąć takiego wniosku. Instrukcje zawarte w strukturze językowej wypowiedzi cechuje mimo wszystko pewna sztywność i nie można się do nich byle jak stosować. Aby interpretować, trzeba iść za wskazaniem, jakie dyktuje sam język. Wróćmy do pani pytania. Nie mogę powiedzieć jako językoznawca, że dana interpretacja jest prawdziwa, ale mogę powiedzieć, że jest fałszywa, albo zakłada, że mówiący naruszył strukturę językową.

A. D.: *A więc kryterium oceny polega na zgodności z instrukcjami?*

O. D.: Jest to tylko jedno z kryteriów, ale oczywiście istnieje wiele innych, związanych z naszą wiedzą o społecznej lub psychicznej sytuacji osoby mówiącej.

A. D.: *Można obecnie zaobserwować bardzo dynamiczny rozwój kierun-*

ków kognitywnych. Czy mógłby pan, w sposób bardzo ogólny, określić swoje stanowisko wobec tych tendencji?

O. D.: Muszę powiedzieć, że słowo „kognitywizm” cieszy się dziś takim powodzeniem, że nie bardzo mogę uchwycić jego znaczenie. Kognitywizm stał się dzisiaj tym, czym 30 lub 50 lat temu był strukturalizm, dlatego też dość trudno jest określić swoją wobec niego postawę. Co można rozumieć przez kognitywizm? Można np. rozumieć próbę odkrycia mechanizmów umysłowych działających wówczas, gdy ktoś mówi, a także gdy interpretuje mówienie. Osobiście nie mam żadnych obiekcji co do takich badań. Niestety, trzeba przyznać, że pozostają one trochę w sferze utopii, przynajmniej chwilowo i, o ile wiem, nie poczyniono w tej dziedzinie wielkich postępów. Być może tak się stanie — byłoby to bardzo dobrze, ale myślę, że w obecnym stanie rzeczy nieuczciwie jest kwestionowanie jakiejś teorii językoznawczej w imię badań kognitywnych, ponieważ są one zbyt słabo rozwinięte i zbyt mało pewne, żeby można było dyskutować. Co jeszcze można rozumieć przez kognitywizm? To, że sens słów, jakie wypowiadamy, powinno się opisywać w oparciu o pojęcia zaczerpnięte z psychologii. Badania psychologiczne stwarzałyby ramy dla opisu semantycznego (podobnie np. sądzili w XVII w. gramatycy z Port-Royal). Także i tu dyskusja jest niezwykle trudna, ponieważ nikt nie zna owych pojęć psychologicznych uznanych za uniwersalne i nikt nie zdołał ich zdefiniować z niewielką choćby dozą pewności. Na razie wydaje mi się, że postępowanie zmierzające od językoznawczych badań nad sensem ku hipotezom psychologicznym jest pewniejsze niż podążanie w kierunku odwrotnym.

A. D.: *Przed chwilą wspominał pan o pojęciach uniwersalnych. Czy zechciałby pan podzielić się uwagami na temat uniwersaliów w językoznawstwie? Jeśli je pan przyjmuje, to jakiego są one typu?*

O. D.: O ile uznać, że podstawą faktów mownych jest specyficzny przedmiot — język, i jeśli z drugiej strony przyjąć, że wszystkie poszczególne języki związane są ze zdolnością mówienia cechującą wszystkich ludzi, to nieunikniona staje się hipoteza, że istnieją uniwersalia realizowane w różny sposób przez różne języki. Nie znam teorii językoznawczej, która by się nie opierała na pojęciach uznawanych za uniwersalne. Gdy Saussure stworzył takie podstawowe pojęcia jak syntagma i paradygmat, przedstawiał je jako uniwersalne. Gdy Martinet mówił o monemie czy o predykcacie, uważał, że są to uniwersalia. Gdy Chomsky mówił o transformacjach, twierdził, że sama idea transformacji, niezależnie od różnych jej typów, jest uniwersalna i należy do wszystkich

języków. Co do mnie, uważam, że pojęcia, jakimi się posługuję w opisie, np. presupozycja, argumentacja, wypowiedanie i polifonia, można zastosować do każdego języka. Powiedziałem przed chwilą, że przeszkadzały mi pewne aspekty teorii aktów mowy. Przeszkadzało mi mianowicie to, że teoretycy aktów mowy bezkrytycznie używali do ich opisu wyrazów z języka, którym się posługiwali, najczęściej z angielskiego. A przecież nie musimy przyjmować, że każdy język opiera się na tym, czego ślad można znaleźć w słownictwie angielskim. Ale to bynajmniej nie znaczy, że nie jest prawomocne odkrywanie pojęć ogólnych, które by miały wartość uniwersalną, na przykład, być może, samo pojęcie aktu mowy.

Inaczej mówiąc, uznaję konieczność przyjęcia uniwersaliów, bez których opisowi językoznawczemu brakowałoby jakiegokolwiek rzetelności, ale trzeba te pojęcia uniwersalne konstruować, a nie czerpać ze słownictwa potocznego.

A. D.: *Co stanowi dziś największy problem w pana badaniach?*

O. D.: Największym problemem w moich badaniach jest opracowanie pojęcia argumentacji, którym się coraz częściej posługuję, a szczególnie pojęcia toposu — podstawy wszystkich moich badań nad argumentacją. Zdałem sobie sprawę, że pierwsza formuła toposu była niezadowolająca, gdyż definiowałem toposy jako stosunki między właściwościami, ujmowanymi jako konstytutywne dla rzeczywistości pozajęzykowej. Jest to nie do przyjęcia i w gruncie rzeczy nie do pogodzenia z tym, na czym mi zależy, jeśli zważyć, że moim podstawowym celem jest, wręcz przeciwnie, ukazanie autonomii języka. Zauważyłem więc, że pojęcia, nad którymi pracowałem, chcąc opisać specyfikę języka, były w istocie sprzeczne z moimi pierwotnymi założeniami. Chciałbym więc zdefiniować pojęcie toposu nie korzystając z pojęć odnoszących się do rzeczywistości. Ale jest to zadanie niesłychanie trudne. Można powiedzieć, że mój problem zbliżony jest do problemu fonologów. Dostrzegali oni mianowicie, że nie należy opisywać dźwiękowego aspektu języka wychodząc od pojęć zaczerpniętych z fonetyki, że *a* francuskie należy opisywać nie jako dźwięk, ale jako stosunek do innych fonemów języka francuskiego. Niestety, do opisanie stosunków między fonemami trzeba było zastosować pojęcie cech dystynktywnych. Otóż odnosi się ono do rzeczywistości fonetycznej. W nieco podobnej sytuacji znajduję się obecnie: mówię, że słowo odsyła nie do pojęć, tylko do toposów, czyli do stosunków między pojęciami. Dramat polega na tym, że pojawia się wielka pokusa, aby tym pojęciom nadać status pewnej rzeczywistości naturalnej, czego chciałbym za wszelką cenę uniknąć. Właśnie w tym

kierunku zmierza moja praca. Zaczęliśmy od Saussure'a i sądzę, że możemy skończyć nawiązując do niego ponownie. Saussure mówił, że w języku wszystko jest relacją. Lecz niesłuchanie trudno jest bronić w sposób spójny myśli, która służyła mu do ukazania specyfiki zjawisk językowych. Jeśli zaczynamy mówić o relacji, to zaraz dajemy do zrozumienia, że istnieją jakieś przedmioty wchodzące w relację i że przedmioty te trzeba wprowadzić do samej definicji tego pojęcia. Powiedzenie, że wszystko w języku jest relacją, wydaje się więc na pierwszy rzut oka absurdalne. Saussure ratuje spójność swej teorii formułą bardzo tajemniczą. Mówi on, że elementy języka tworzone są przez same stosunki między nimi. Saussure'owi, jak sądzę, nie udało się całkowicie zrealizować postulatu nadania stosunkom wartości konstytutywnej i ujęcia ich inaczej niż jako powiązanie obiektów istniejących niezależnie od siebie. Właśnie przed takim samym problemem stoję obecnie. Moje toposy są relacjami między predykatami i absolutnie nie chciałbym powiedzieć, że predykaty te istnieją niezależnie od siebie. Pragnąłbym dojść do stwierdzenia, że tworzone są przez wiążące je toposy, w tym sensie, w jakim saussurowskie elementy powstają dzięki relacjom, które ustala między nimi język.

A. D.: *Powrót do Saussure'a skłania mnie, by na zakończenie zadać panu jeszcze jedno pytanie. Czy zechciałby pan może podać zwięzłą definicję języka?*

O. D.: Bardzo trudno odpowiedzieć na takie pytanie, bo ryzykuję, że to, co powiem, będzie albo zbyt banalne, albo zbyt techniczne. Mimo to spróbuję. Dla mnie język jest zbiorem ról, jakie rozmówcy narzucają sobie nawzajem poprzez dyskurs.

A. D.: *Oto akt odwagi, którego Sokrates na pewno by nie omieszkiał wykorzystać jako impulsu do dialogu.*

Posłowie tłumaczki

Według Oswalda Ducrota, strukturalizm w semantyce wiąże się z przyznaniem konstytutywnej roli zjawisku wypowiedzianego (*énonciation*), a opis języka (*langue*), będącego zbiorem zdań (*phrases*), wymaga wzięcia pod uwagę pewnych aspektów mówienia (*parole*). Innymi słowy, Ducrot łączy pragmatykę z semantyką. Wypowiedzianie rozumie jako fakt pojawienia się wypowiedzi (*énoncé*), definiowanej jako realizacja zdania, konstruktowi postulowanego na poziomie języka.

W języku polskim jako odpowiednika *énoncé* używano także terminu „wypowiedzenie”. Realizując zdania, mówiący (*locuteur*) tworzy ciąg wypowiedzi — dyskurs. Dyskurs właśnie jest punktem wyjścia dla opisu języka. Ze zmianami rzeczywistości dyskursywnej wiążą się akty mowy. Zmiany te rozpatruje Ducrot z punktu widzenia praw i obowiązków rozmówców wyłącznie na płaszczyźnie dyskursu, w oderwaniu od zagadnień interakcji społecznej czy szerszej rozumianej socjologii. Powiedzieć coś — to wyznaczyć pewien ciąg dalszy, a wykluczyć inny. Czynniki pozostające poza zakresem badań mogą sprawić, że rzeczywiste następstwo wypowiedzi odbiega od — analizowanej przez Ducrota — struktury dyskursu idealnego (por. O. Ducrot *Strukturalizm, wypowiedzianie i semantyka*, tłum. K. Falicka, „Pamiętnik Literacki” 1980 z. 2).

Daną obserwacyjną, którą chce wyjaśnić Ducrot, jest wartość semantyczna wypowiedzi, zwana sensem (*sens*). Narzędziem eksplikacji jest wartość semantyczna zdania, zwana znaczeniem (*signification*). Definiuje się je jako zbiór instrukcji, które każą osobie interpretującej wypowiedź uwzględnić pewne elementy sytuacji wypowiedzania dla rekonstrukcji sensu, jaki zakładał mówiący. Przedmiotem badania są także semantyczne relacje między wypowiedziami, a szczególnie mechanizm łączenia wypowiedzi w dyskursie (por. J.-C. Anscombe, O. Ducrot *L'argumentation dans la langue*, Bruxelles 1983). Według tak zwanej teorii argumentacji w języku, nawiązania opierają się na sposobie, w jaki mówiący przedstawia fakty, a nie na warstwie informacyjnej jego wypowiedzi (to różni koncepcję Ducrota od innych koncepcji). Prowadzi to do radykalnego zerwania z semantyką warunków prawdziwości. Opis form językowych polega na wskazaniu, jakiego typu możliwy ciąg dalszy wyznacza każda z nich. Ukierunkowanie dyskursu ma swe źródło w ogólnych zasadach argumentacyjnych zwanych — w nawiązaniu do Arystotelesa — toposami (por. O. Ducrot *Topoi et sens*, w: *Lire et enseigner le texte et l'image: valeurs et cultures*, red. G. Maurand, 9^e Colloque d' Albi, Univ. de Toulouse-Le Mirail 1989).

Ich właśnie dotyczą aktualnie prowadzone badania. Od wielu lat współpracownikiem Ducrota jest Jean-Claude Anscombe.

Termin „argumentacja” nie odwołuje się do definicji najczęściej przyjmowanych. Początkowo oznaczał ciągi dwóch wypowiedzi, z których pierwsza była argumentem, a druga konkluzją. Z czasem w polu zainteresowań badawczych znalazły się elementy nie koniecznie wyrażone *explicit*e, daleko odbiegające od intuicyjnego rozumienia pary: argument — konkluzja (mogą to być np. akty illokucyjne, postawa przychylna lub nieprzychylna, samo zjawisko wypowiedzania). Obecnie przez „argumentację w języku” rozumie się możliwości budowania dyskursu

— czyli łączenia wypowiedzi — określone na poziomie języka i opisywane za pomocą pojęcia toposu.

Rozwinięciem myśli Bachtina i Bally'ego stała się semantyka polifoniczna. Zrywa ona z koncepcją jednego podmiotu mówiącego i ujmuje sens wypowiedzi jako dialog wielu głosów nazwanych wypowiadającymi (*énonciateurs*), z którymi mówiący na różne sposoby się utożsamia lub wobec których się dystansuje (por. O. Ducrot *Zarys polifonicznej teorii wypowiedzania*, tłum. A. Dutka, „Pamiętnik Literacki” 1989 z. 3). Teoria polifonii dąży do opisanego pierwotnej warstwy semantycznej języka, z której wywodzą się treści informacyjne i illokucja.

Oswald Ducrot jest także autorem prac z zakresu historii językoznawstwa (*Le structuralisme en linguistique*, Paris 1968; *Logique, structure, énonciation*, Paris 1989). Zajmuje się w nich powstawaniem języka jako autonomicznego obiektu badań oraz wpływem teorii na postrzeganie mowy i konstrukcję tego, co przyjmujemy za empiryczne fakty językowe. Wykłada w Ecole des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu.

Paryż, 5 grudnia 1990

Anna Dutka

Arcydzieła pióra białych mężczyzn — uwag kilka o kanonie Z Fredem Nicolssem rozmawia Bożena Shallcross

Bożena Shallcross: *Kwestionowanie kanoniczności dzieł literackich w Stanach Zjednoczonych wiąże się w sposób pośredni z zagadnieniem istnienia lub nieistnienia obiektywnych wartości i obiektywnych kryteriów.*

Fred Nicols: Moment to dość trudny, jako że większość dominujących w literaturoznawstwie stanowisk nie jest zainteresowana problemem sądów wartościujących dzieła literackie.

B. S.: *Wyjąwszy pewne nurty w fenomenologii.*

F. N.: Lecz nie myśl strukturalistyczna i poststrukturalistyczna. A właściwie sięga to jeszcze dalej, do Northrope'a Frye'a, który zawsze